

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

Stanisława Dygata, esejami Jana Błońskiego, z za Żelaznej Kurtyny nadsyłali reportaże z granicy Olgierd Budrewicz i Roman Burzyński, co w gomułkowskich czasach było ewenementem.

Rysunkami przyozdabiał tygodnik Antoni Uniechowski, Zbigniew Lengren zamieszczał swojego Filutka, ilustrował niezapomniany Daniel Mróz, wierszy dostarczali Jan Brzechwa, Janusz Minkiewicz, Ludwik Jerzy Kern, felietonami sypali Jerzy Waldorff i Lucjan Kydryński, a jego brat, Juliusz Kydryński, przetłumaczył Most na rzece Kwai, swoiste uzupełnienie filmu niedostępnego w naszych kinach wyświetlających radzieckie gnioty. W nim publikował swoje powieści (Katar, Śledztwo) Stanisław Lem. W nim też Piotr Skrzynecki przedstawiał swoją obrazkową powieść (Szaskiewiczowa, czyli „Ksyłolit w Jej życiu”).

Natomiast zgnięły zachód reprezentowali Françoise Sagan, Curzio Malaparte, Franz Kafka, niedościgły humorysta – Roald Dahl, Luis Borges, Ramon Gomez De La Serna i wielu, wielu innych pi sarzy, grafików, malarzy, których tekstów próżno by szukać na mapie innych czasopism. Tu znalazły bezpieczną przystań i to wokół niego skupiły się wybitne indywidualności tworzące niepowtarzalny klimat.

Wbrew socrealistycznym modom na intelektualną zgrzebność, dzięki konsekwencji, uporowi, dyplomacji w redakcyjnych rozmowach z ciemniakami od cenzury, narodził się znany i masowo czytany periodyk. Znany powszechnie, gdyż na ówczesnym „ryнку” był wyjątkiem, odmianą, nieustannym uodwadnianiem, że przy odrobinie dobrej woli może powstać coś wspianego, coś wyraźnie, dobitnie, namacalnie różniącego się od partyjnych zaleceń. Marian Eile, pierwszy Naczelnny (od 1945 do 1969) przeszedł do historii: wykruszyła się stara wiara i nastąpiło WIELKIE BUM i nadejśćszy czas zwycięstwa miernot.

Ruch, to zdrowie!

Dbamy o siebie tyle, co nic. Leczymy się incydentalnie. Ruszamy się niewiele. Przeważnie siedzimy. Jeżeli stoimy, to tylko w korytarzach.

W pracy odwalamy robotę przyspawani do dwóch urządzeń: krzesła i komputera. Po pracy jedziemy do domu. W domu siadamy przed telewizorem i czekamy na obiad. W przerwie na rozruch pudła z nowinami, bierzemy z lodówki zgnięłą wodę nazwaną pepsi oraz na przekąskę – nędzne kilo frytek.

Po godzinie rajskiego tycia przed ekr-

nem, stara od garów wnosi talerz ociekający cholesterolem i z kanapy przemieszczamy się na krzesło przy stole. Telewizor ma wygodkę w postaci pilota i nie musimy odrywać się od ukochanej kielbaski, by zastąpić program o diecie – cud, programem o kurczakach z ropy naftowej.

Okno w pokoju mamy szczelnie zamknięte, bo słyszeliśmy w reklamie, że zepsute powietrze ma niszczący wpływ na frekwencję naszych węgłów, a cyrkulacja zaduchu zlikwiduje nam hemoroidy.

Po szczęśliwym pochłonięciu półmistrzowej kielbasy podlanej piwem, wracamy do ulubionej pozycji brzucha wycelowanego w sufit. Po pierwszym beknięciu, patrząc na świat obudzonym okiem, zapadamy w błogi sen o świątecznej golonce po meksykańsku.

We śnie widzimy dwie tłuste i rozjuszone gicze cielece walczące o widelec. Widelec wpadł po zęby w słoik z musztardą.

Rozlega się jego rozpaczliwe wycie i budzimy cię zlni potem.

By się otrząsnąć z koszmaru, przesiadamy się do komputera.

Fotelik jest mięciutki, obrotowy i dopasowany do zwiotczającego tyłka. Maszyna burczy, warczy i gwizdże na nas, lecz jej ekran poczyna uwodzicielsko mrugać dając nam sygnał, że jeszcze żyje. Przystępujemy więc do relaksu.

Relaks nazywa się zażartą grą w coś o nic. Gra jest formą gimnastyki palca średniego. Pozostałe mają wolne. Korzystamy, że nasze dzieciętko poszło na hulankę i zaczynamy ujeżdżać.

Znajdujemy się w kartonie Pana Smoka i naszym zadaniem jest sprawić mu łomot i skasować mu trzy wredne głowy broniące skarbu.

Ochoczo rzucamy się do tej herkulesowej pracy. Nic to, że mamy zadyszkę i wszystkie możliwe kolki naraz. Przy elektronicznym bydłaku czujemy się wysportowanymi gladiatorami zdolnymi do niejednej krucjaty. Toteż z krępkim jazgotem pomyłonego Tarzana wyruszamy na wojnę z bajkowym podlecem.

A po drodze przygód mamy w bród. Co chwilę z za węgła jakiegoś korytarza wyskakuje barczysty opętaniec z laserowym mieczem i albo wymiksujemy go do niebytu, albo zaczynamy grę od początku.

W ten sposób odpoczywamy przed pójściem do łóżka. Idziemy spać, bo pociecha wróciła z imprezki i chce dosiąść komputera, ale przed snem należy przegryźć małe coś nieco. By nie budzić karaluchów, wsuwamy się na zadartych paluszkach do kuchni i zaglądamy do wnętrza lodówki.

A tam specjalny, cymes, przepychy, całe stosy kalorii, istne rozpusty i orgie smakowe! Aż strach, że tyle dobra ominie nasz przełyk, że wszystkie te słoiki, puszki i torebki nie trafią na nasz język, że nie zaczniemy ich gryźć, szarpać i rozdzierać na sztuki, bo z przerażeniem stwierdzamy, że razem z dzisiejszą kielbaską połknęliśmy ostatni ząb. A

ząb to był zasłużony, bo ząb mądrości!

Jeszcze niejedno mięsko mógłby drasnąć, cóż, kiedy nie chciało się nam pójść do sadystry od leczenia kłów.

Szukamy więc winnych naszych ubytków i znajdujemy: to te słodkości, pyszotki, batony i desery pozbawiły nas szczerego uśmiechu, wymiotły z twarzy grymas wiecznego zadowolenia i dały w zamian uśmiech ponurego żuła.

Siema, przyroda!

Niedługo będziemy musieli czekać na upragniony sukces: wkrótce, wysiłkiem wielu układów trawiennych, nasze ukochane Mazury zmienią się w największe szambo w Europie. Tereny leśne, obfite w zwierzyń, świeże powietrze i ciszę, zostaną wygumkowane z istnienia. Nad jeziorami pojawią się rachityczne bungalowy w stylu zakopiańskim; tubylcy z ciupagami w jednej, a oscypkami kaszubskimi w drugiej ręce urządzią ceprom klawą potańcówkę na sztachety.

Mrowie pikników, biwaków, lub innych wyjących imprezek stanie się powodem ucieczek zwierząt. Zajęte pochłonięte upojną drzemką pod miedzą zostaną poddane decybelowym zmorom, a ich sielski spokój padanie bez odwołania. Stare jelenie, jak przez mgłę pamiętające lepsze czasy, zmuszone do galopu celem ucieczki przed alkoholowymi miłośnikami łona natury (lub jakiegokolwiek łona), gnać będą ze strachu na oślep i szukać ratunku poza dotychczasowym miejscem swojego parkowania.

Znikną rejterując i gubiąc po drodze poroża. Wyniosą się do sąsiednich gmin i województw, ale i w nich będą dobrzy ludzie z pałami, betoniarkami i ekologicznymi pomysłami na wykończenie Matki Natury. Szybko więc dojdą do wniosku, że trzeba im w tę pędą wyginąć. Poznijkają też zacne suwary, tataraki, podmokłe siedliska rozczwierkanych i kumkających stworzeń.

Na ich miejscu zasadzi się ściernisko pod nowy bank, a bank to będzie okazały, świeżutki, pachnący przekrętami. W ramach troski o cudowną przyszłość, stworzy się kombinat produkujący świeże powietrze i fabrykę cyjanku dla „późnego wnuka”.

Dla promocyjnych potrzeb naszej turystyki stworzy się odpowiednie prospekty ze zdjęciami chwytającymi za portfel czy serce. Zaprezentuje się w nich zabytkowe widoki na plastikowe Mazury i asfaltowe doliny do gry w golfa. Wreszcie nasza rekreacyjna perła dewizowa dokużytko do pozostałych rezerwatów z okolicznościami przyrody. Jakoś dopełnie do Narodowych Pieścidełek Folderowych.

cdn.

Marek Jastrząb